

Astana

Jest coś magicznego w nocnych lotach międzykontynentalnych. Startuję wieczorem z Warszawy wyposażony przez LOT w pakiet na sen: stopery do uszu, klapki na oczy, koc i skarpetki w firmowym kolorze. Otulony i pozatykany zasypiam od razu. Duch odkleja się od ciała i błądzi w snach. Ktoś mi powiedział, że człowiek ma sześć dusz i jeśli dużo podróżuje, to część z nich odrywa się i gubi, a on sam zostaje opuszczony. Do czasu, aż owe dusze ponownie odnajdą go i dogonią lub on do nich powróci. W czasie naszego lotu Ziemia przekręca się cztery strefy czasowe. Pięć godzin później moje ciało budzi się w środku Azji, w Astanie. Jest niedziela rano. Jadę taksówką, szarą od brudu skodą, pustą, prostą szosą po płaskim jak morze stepie w stronę miasta. Podziwiam flotę wieżowców na gładkim horyzoncie. Nową stolicę Kazachstanu wybudowano w ostatnich dwudziestu latach. Osuszono z błota i wybudowano, bo taka była wola człowieka. Miasto jest dwa razy młodsze ode mnie i puste jak mój żołądek. Wszystko w formie nowej przyszłości bez śladów historii. Biurowce, ministerstwa, hotele władzy i biznesu. Niektóre wysokie na pięćdziesiąt pięter z reklamowymi filmikami na całej swojej powierzchni. Stumetrowa dziewczynka idzie w zwolnionym tempie w moją stronę w reklamie H&M. Dominują kolory złota, zieleni i błękitu. Większość tych drapaczy chmur zakończona jest szpicami, kolcami czy masztami, jakby chciały przekłuć podbrzusze nieba i pokazać - patrzcie, tam na górze nic nie ma. Chcą imponować i rzeczywiście imponują, przynajmniej pierwszego dnia. Gdybym teraz zobaczył UFO, to w ogóle nie zdziwiłbym się, tak bardzo pasowałyby do tego pejzażu. Ładniejsze są jednak białe i smukłe minarety meczetów, z których pięć razy dziennie głos muezzinów zawodzi, aby pokłonić się niebu. Co robić? Idę szukać pożywienia. Znajduję śniadanie kontynentalne tzn. europejskie z americano cafe. Wszyscy obecni w restauracji są niskimi brunetami i brunetkami o skośnych oczach, więc automatycznie stają się tym kimś najbardziej podobnym do śpiewających amerykańskich złotych chłopców z MTV włączonego na cały regulator. Ciekawe spojrzenia i miłą obsługę dostaję w cenie. W cenie trochę wyższej niż u nas... Przez pierwsze dni szukam jakiegoś punktu zaczepienia w tym idealnym mieście jednego pomysłu. Chcę się do czegoś przykleić ze swoimi wyobrażeniami o stepowym kraju. Uśmiecham się na widok śmieci w krzakach, zepsutego neonu, a nawet starszej pani zebrzącej o drobne. Smakuje mi lokalna kuchnia, dużo mięsa i napój z końskiego mleka o smaku wędzonego kefiru, ale to wszystko za mało. Mijamy się, ja chodzę i patrzę, miasto stoi i milczy. Ślizgam się po nim i nudzę.

Trzeciego dnia idę główną promenadą miasta w stronę pałacu prezydenckiego, białego budynku z niebieską kopułą i oczywiście złotą szpicą na szczycie. Od powstania młodego państwa dwadzieścia siedem lat temu rządzi nim jako prezydent i przywódca narodu ten sam jeden człowiek, a dziś właśnie wypada ustanowiony przez niego Dzień Konstytucji. Cztery dni wolne od pracy. Pałac niczym murem otoczony jest dwoma wysokimi blokami mieszkalnymi ze złotymi basztami na ich końcach. Przechodzę między nimi na plac przed pałacem. Jest to powierzchnia wielkości czterech krakowskich rynków. Na nim tylko ja, dwóch strażników, każdy w swoich myślach i dywany kwiatów żółto-niebieskich jak flaga Kazachstanu. Spaceruję i kontempluję pustą przestrzeń oraz majestat władzy lub jak kto woli pustą władzę nad majestatyczną przestrzenią. Przestrzenią kraju dziewięć razy większego od Polski, z dwa razy mniejszą liczbą ludności.

Codziennie przychodzi do mnie chłopiec o imieniu Karim. Przynosi go babcia z wnuczką, siostrą Karima. Przeprowadzili się do stolicy kilka lat temu ze stepów. Karim nie mówi i nie porusza się. Babcia kładzie go na podłodze, a potem układa się na poduszkach kanapy, na lewym boku z ręką wyprostowaną pod głową, nogami podwiniętymi pod siebie i od razu zasypia. Jej zmarszczki łagodnieją, usta rozluźniają się, oddech wyrównuje. Wtedy wygląda jak jej wnuczka, mała dziewczynka, jakby spała na końskich skórkach w jurcie. Być może tak jest naprawdę, tak przynajmniej lubię o niej myśleć. Jak jej duch opuszcza ciało i wędruje po stepach w poszukiwaniu swoich brakujących dusz. Unosi się nad nami, nade mną i nad Karimem. Zostawia nas i to miasto, a po godzinie wraca, jej ciało wstaje wypoczęte, unosi Karima większego od niej i znika w mieście do jutra... Po tygodniu moje ciało jeszcze raz znika w kapsule Boeinga, wznosi się na jedenaście tysięcy metrów i z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę pędzi nad stepami podzielonymi na regularne kwadraty pól przez proste drogi i kręte rzeki. Pędzi przez kilka godzin, aż podano obiad w plastikowych pudełkach, przekroczyliśmy Ural i wróciliśmy do Europy, do tej Małopolski pozszywanej z wąziutkich skrawków pól, do domu i do swoich dusz.

Ps. Przyjeżdżam tutaj już cały rok. Miasto nie zmieniło się oprócz nazwy. Prezydent nazwał je swoim imieniem Nursułtan. Taka była wola człowieka.

8.09.2018